



**MEMORIAŁ
IM. MIECZYŚŁAWA
KRÓLA ŁĘGOWSKIEGO**



Zakopane 24.09.2016

Rafał Sonik żegna swojego przyjaciela

Jest taka opowieść o Sądzie Ostatecznym. O tym, że każdy musi tam przynieść swoje dobre i złe sprawy, żeby je położyć na wadze. Na jednej szali to o czym zapomnieliśmy oraz to, co uczyniliśmy źle. Na drugiej to, co mieliśmy w pamięci i w sercu dobrego. W tej jednej chwili każdy z nas zobaczy wszystko co uczynił. Każdy. Tylko nie poeta.

Poeta idzie na Sąd Ostateczny bez niczego. Wszystko co niesie to te swoje wiersze. I one wystarczą, żeby wejść do Królestwa. Bóg przecież kocha poetów. Mieczysław Król Łęgowski zanieś tych wierszy sporo. Nie wiem, czy Święty Piotr się w tym rozeznaj, bo przecież napisane są po góralsku i trzeba być Góralem, żeby się w tej poezji na dobre rozgościć. Nie jestem Góralem. Nie będę ich wam czytał. Są między nami tacy, co to potrafią zrobić lepiej ode mnie.

Długo walczył. Szpiczak nie daje człowiekowi wielu szans. A jednak walczył długo. Heroicznie. Bez użalania się nad sobą i bez popadania w depresję. Może dlatego, że się przecież Górale nie uskarżają na to co im Pan Bóg szykuje. Mają swoją godność. Jak to powiedział ksiądz Józef Tischner „góralaska wiara jest zakorzeniona w dosłownym rozumieniu Biblii. Włos z głowy nie spada bez woli Bożej, dlatego nawet zbójnicy, gdy uciekali z łupem, a pościg się zbliżał, śpiewali: „Boże nie opuszczaj nas, bo jak nas opuścisz, to już będzie po nas” ... Jest w tej pieśni poczucie godności, świadomość wyjątkowości; no, jesteśmy dranie, ale świat bez nas by się zastoił”. Mieczysław Król Łęgowski z Bachledów nie mógł się wtedy poddać zwyczajnie. Musiał walczyć. I musiał pisać. Musiał te swoje rzeźby w metalu wykuwać póki w rękach dość było siły żeby młot udźwignąć. Zahartowany był. Chorym na szpiczaka dają czasem rok. On walczył siedemnaście.

Miał w sobie tę zbójcecką fantazję od dziecka. Od szkoły. Chodził do klasy z innym zakopiańczykiem o wielkiej fantazji – z Wojtkiem Fortuną. Kiedyś pan od wufu posłał ich do domu po dowód osobisty. To było w czasach kiedy dowody były zielonymi książeczkami, miał 16 stron a na stronie czwartej miał miejsce na wpisanie dzieci. Mietek z Wojtkiem dopisali panu nauczycielowi kilkoro nowych dzieci.

Miał w sobie tę zbójcecką fantazję w czasach zabawy i w czasach w których trzeba było postawić wszystko na jedną, poważną kartę. W czasie stanu wojennego Mietek pisał i kolportował patriotyczne wiersze. Robił to na zabytkowej maszynie. Tak bardzo zabytkowej, że esbecy kiedy robili mu w domu rewizję, nawet na nią nie spojrzeli. Nie wierzyli, że jeszcze działa.

Dostawał za te wiersze w wolnej Polsce szereg prestiżowych nagród i wyróżnień. Rzeźbił w papierze słowami a młotem w stali w chwilach kiedy mu się udało przemoć chorobę. Bo rzeźbić zaczął przecież już w czasie kiedy ją w sobie miał. Nie miałby szans bez rodziny. Bez dziewczyny, z którą był całutkie życie. Anna Stoch Waka. Cierpliwa i dobra. Rozumiała go, bo sama przecież artystyczna dusza. I bez córek. Bożena wzięta po nim talent, uprawia malarstwo współczesne i czasami podhalańskie motywy na szkle. Kasia wzięta pogodę ducha i optymizm a Kornelia zbójnicki, królewski charakter. Tak jest jakie daje słowo.



**MEMORIAŁ
IM. MIECZYŚŁAWA
KRÓLA ŁĘGOWSKIEGO**



Kiedy choroba zwyciężała i nie miał dość sił, dłubał i wycinał góralskie spinki. Wycinał je i wspominał dobre czasy. Spotkania z papieżem, miał ten honor i szczęście żeby się z Janem Pawłem spotykać. Zostawił po nich wspomnienia w wierszach. Znowu napisanych po góralsku, więc nie wszystko potrafię zrozumieć. Nie byliśmy razem w tylu, tylu miejscach, w których przecież mogliśmy byli być, gdybyśmy się spotkali wcześniej. W tylu górach całego świata nie byliśmy. Ale na tej najświętszej, na tej najważniejszej byliśmy razem i tam się zaprzyjaźniliśmy. Na Kasprowym. Tak. Jesteśmy przyjaciółmi. A przyjaciele to przecież rodzina, którą sami sobie wybieramy. Na zawsze. Więc choć nie jestem Góralem, to jesteśmy jednak rodziną...

Byłem u niego w szpitalu tydzień temu. Zawiozłem mu kurtkę zimową. Żeby był gotowy kiedy spadnie śnieg. Bo za każdym razem odkąd rozpoczął swoją walkę z rakiem mówiliśmy: do wiosny. Do zimy. I choć to wymagało nadludzkiego wysiłku Mietek szedł pod tę górę bez słowa skargi. I zawsze docierał. Ale teraz nie.

Walczył z chorobą siedemnaście lat. Nie dałby rady gdyby nie lekarze. Gdyby nie prof. Aleksander Skotnicki, gdyby nie dr Artur Jurczyszyn z Kliniki Hematologii UJ w Krakowie, i wielu, wielu innych dzielnych ludzi, lekarzy, pielęgniarek, terapeutów z Krakowa i właśnie stąd, Zakopanego. Ludzi dla których życie jest wartością pierwszorzędą. Pewnie dzisiaj stoicie tutaj pośród nas w smutku, że odszedł, ale przecież nie o to chodzi, ale o to że przez siedemnaście lat dzięki wam żył i tworzył. I to był najbardziej twórczy okres w jego pracy.

Nie zdążyłem do niego do szpitala w ostatni wtorek. Zabrakło mi czterdzieści minut, żeby się pożegnać. Ale w tej chwili kiedy szedł tam, gdzie nie mogliśmy iść razem, wiem od jego córek, miał tę kurtkę. I w tej godzinie kiedy odchodził na Kasprowym zaczął sypać śnieg. I w tej ostatniej chwili zadzwonił jego telefon. Mietek już nie odebrał. Ale słuchał. Bo kiedy jego telefon dzwonił to nie był zwyczajny dzwonek. On grał muzykę. Grał po góralsku. Przecież nie byle kto szedł do nieba. Król szedł. Nie mogło mu braknąć muzyki.

Więc w tej ostatniej chwili wszystko było tak, jak sobie wymarzył. W dobrych zawodach wystąpił, wiary ustrzegł. Bieg ukończył. Szedł przez życie najlepiej jak potrafił. I wszystko mu się udało. Dom, przyjaźń, poezja, jego niezwykle, mocne, wypawane grubą kreską rzeźby w stali, jego unikalna kolekcja, której poświęcił ogrom czasu i energii. I tylko muzeum nie zdążył wybudować...

Wicie które narty w jego kolekcji uważał za najcenniejsze? Wcale nie te najstarsze. Ani nie te na których skakali najwybitniejsi mistrzowie. To zwykłe, nawet nie markowe narty ze Słowenii. W latach osiemdziesiątych do małego jeszcze wtedy muzeum na Bachledach przyjechali rodzice młodego skoczka, który uległ poważnemu wypadkowi na największej skoczni Świata Letanicy. Poprosili w imieniu syna aby jego narty zostały w muzeum gdyż tam jest ich godne miejsce. Po wypadku na skoczni młody człowiek stracił zdrowie i podobnie jak Mietek nie mógł już kontynuować swojej pasji.

O tym mówiliśmy ostatniego dnia. O kolekcji. O muzeum, którego nie zdążyliśmy wybudować razem.

Przyrzekłem ci Mietku, że ten nasz wspólny plan doprowadzę do końca. I dotrzymam słowa.